

Kazania, Homilie, Liturgia - Biblioteka Kaznodziejska

Adres strony: http://www.bkaznodziejska.pl/nr/sytuacje_duszpasterskie/homilie_okolicznosciowe/kazania_pasyjne_ii.html

marzec/kwiecień 2010 » SYTUACJE DUSZPASTERSKIE » Homilie okolicznościowe »

Kazania pasyjne II

Przed tygodniem wraz z Bratem Albertem wpatrzni w namalowany przez niego obraz *Ecce homo*, adorowaliśmy Jezusa ubiczowanego i odzianego w purpurę. Dzisiaj chcielibyśmy wsłuchać się w Jezusowe pragnienie ukazane na krzyżu. Święty Jan zanotował kilka ostatnich słów Jezusa. Wśród nich również i to: „Pragnę”. Czego Jezus pragnie? Jakie są Jego pragnienia w chwili największego opuszczenia? Czego pragnie Bóg-Człowiek w chwili swojej śmierci?

Świadkowie Miłości

MATKA TERESA Z KALKUTY (3 niedziela Wielkiego Postu)

„Potem Jezus świadom, że już wszystko się dokonało, aby się wypełniło Pismo, rzekł: «Pragnę». Stało tam naczynie pełne octu. Nałożono więc na hizop gąbkę pełną octu i do ust Mu podano. A gdy Jezus skosztował octu, rzekł: «Wykonało się!». I skłoniwszy głowę oddał ducha” (J 19, 28-30).
Przed tygodniem wraz z Bratem Albertem wpatrzni w namalowany przez niego obraz *Ecce homo*, adorowaliśmy Jezusa ubiczowanego i odzianego w purpurę. Dzisiaj chcielibyśmy wsłuchać się w Jezusowe pragnienie ukazane na krzyżu. Święty Jan zanotował kilka ostatnich słów Jezusa. Wśród nich również i to: „Pragnę”. Czego Jezus pragnie? Jakie są Jego pragnienia w chwili największego opuszczenia? Czego pragnie Bóg-Człowiek w chwili swojej śmierci?

Jedną z osób, które próbowały i którym chyba udało się – przynajmniej w jakiejś części – usłyszeć, a może też zrozumieć pragnienie Jezusa konającego na krzyżu, była Matka Teresa z Kalkuty. I to właśnie ona, po Matce Urszuli Ledóchowskiej i Bracie Albercie Chmielowskim, jest kolejnym świadkiem męki Zbawiciela – świadkiem Miłości, towarzyszącym nam w naszych medytacjach. W Domu macierzystym i w każdej kaplicy Siostr Misjonarek Miłości – w każdej części świata – we wszystkich domach rodziny zakonnej założonej przez Matkę Teresę, obok krucyfiksu zawsze widnieje ten sam napis: „I thirst” (pragnę). Ten pełen bólu okrzyk Jezusa na krzyżu Matka Teresa usłyszała pewnego wieczoru bardzo wyraźnie w swoim sercu, i to on stał się kluczem do jej duchowości: „Pragnę”.

W liście do całego zgromadzenia w 1993 r. pyta: „Dlaczego Jezus mówi: «Pragnę»? Co to znaczy? To «coś», co tak trudno wyjaśnić słowami. «Pragnę» – to znacznie głębsze słowo niż gdyby Jezus powiedział po prostu: «Kocham Was». Dopóki nie będziecie wiedziały, i to w bardzo osobisty sposób, że Jezus Was pragnie – nie będziecie w stanie poznać tego, kim On chce dla Was być” (25 III 1993).

„Celem ogólnym Misjonarek Miłości – czytamy w regułach zgromadzenia napisanych przez Matkę Teresę – jest zaspokajanie pragnienia Jezusa Chrystusa na Krzyżu, pragnienia miłości i dusz”.
Święta z Kalkuty przypominała o tym swoim siostronom w cytowanym przed chwilą liście: „Wszystko u Misjonarek Miłości istnieje tylko po to, by zaspokoić pragnienie Jezusa. Jego słowo: «Pragnę», na ścianach każdej kaplicy Misjonarek Miłości, nie pochodzi tylko z przeszłości, ale jest żywe tu i teraz, wypowiedziane do Was. Wierzycie w to?”.

Matka Teresa wraz ze swoimi siostrami, a później również braćmi, próbuje zaspokoić pragnienie Chrystusa. W jaki sposób to czyni?

„«Siostra i wszystkie pozostałe siostry – zapytał ją pewnego razu dziennikarz, przybyły z Ameryki, widząc ją, pochylającą się nad umierającymi – nie czujecie smrodu tych rozkładających się ciał, wtedy gdy je myjecie? Ja nie robiłbym tego nawet za milion dolarów». Matka odpowiedziała z uśmiechem: «My też nie. Ale czynimy to z miłości do Jezusa».

Pocieszyć Chrystusa cierpiącego na krzyżu, «rozbitego na duszy i na ciele», który jest obecny w cierpiących twarzach najbiedniejszych, jest najważniejszym celem Matki Teresy i jej duchowych dzieci” (M. Di Lorenzo, *Matka Teresa. Blask miłości*).

Wielu ludzi do dzisiaj nie potrafi tego zrozumieć. Media nadal często pokazują Matkę Teresę jako dobroczynicę ludzkości. A ona nie dla ludzkości, ale z miłości do Jezusa umierającego na krzyżu oddała swoje życie na służbę dla ostatnich na tej ziemi.

„Kiedy obmywam rany trędowatych, czuję jakbym opiekowała się samym Jezusem. Czy to nie jest cudowne?” – mówiła Matka Teresa każdemu, kto ją odwiedzał. „Matka Teresa nie kochała bowiem wszystkich biednych i ubogich razem wziętych, ale osobno każdego biednego człowieka, w którym widziała odbicie oblicza samego Chrystusa. I dlatego właśnie wyrażenie: «Pragnę» (J 19, 28) oraz

drugie: «uczyniliście dla Mnie» (Mt 25, 40) w jej życiu nigdy nie mogą być rozdzielone.

Jezus powiedział bardzo jasno, że cokolwiek czynimy dla naszych najmniejszych braci, czynimy to dla Niego. Jeśli damy komuś szklankę wody w Jego imię, damy ją Jemu: „Uczyniliście dla Mnie”, jak czytamy w Ewangelii św. Mateusza.

To proste zdanie *You did it to me* (uczyniliście dla Mnie), które Matka Teresa lubiła powtarzać w języku angielskim, stanowią podsumowanie jej duchowej wizji.

To wszystko, co dotąd przypomnieliśmy sobie na temat duchowości Matki Teresy i jej wielkiej wrażliwości wobec pragnienia Chrystusa umierającego na krzyżu, nie oddaje jeszcze do końca tego, co kryło się w jej duszy, co była wielką tajemnicą jej niezwyklej, duchowej drogi.

Kiedy 5 września 1997 r. w późnych godzinach wieczornych otoczona miłością i życzliwością swoich sióstr Matka Teresa kończyła służbę dla najbiedniejszych na tej ziemi, nagle na skutek awarii prądu cała Kalkuta pogrążyła się w ciemnościach. Ciemności te nabierają dzisiaj znaczenia symbolicznego. Jak okazało się bowiem podczas procesu beatyfikacyjnego, niemal przez całe życie Matka Teresa przeżywała dręczące ją nocne ciemności duszy. Ta, która „przyniosła całemu światu tak wiele światła” (por. *Pisma*, s. 447), sama przez większą część swojego życia pogrążona była w duchowych ciemnościach, które zjednoczyły ją z Chrystusem umierającym na krzyżu.

Potwierdzeniem tej drogi Matki Teresy stały się jej listy, opublikowane w 2008 roku w książce *„Pójdź, bądź moim światłem”*. *Prywatne pisma „Świętej z Kalkuty”* (Znak 2008). Listy te – adresowane do kierowników duchowych, biskupów i innych bliskich jej osób – odkrywają przed nami sekrety duszy Matki Teresy: „Tęsknota za Bogiem jest strasznie bolesna, a mimo to ciemność staje się coraz większa. Cóż za sprzeczność mam w duszy. Ból, jaki mam w sobie, jest tak wielki, że naprawdę cały ten rozgłos i ludzkie gadanie nie wywołują we mnie żadnych odczuć. Niech Wasza Eminencja prosi Matkę Bożą, żeby była mi Matką w tych ciemnościach” (*Pisma*, s. 238; na podstawie tekstu Artura Sporniaka z „Tygodnika Powszechnego”).

W 1942 r. za zezwoleniem spowiednika Matka Teresa złożyła prywatny ślub, „żeby dać Bogu wszystko, o co poprosi – «Niczego Mu nie odmawiać»”. 10 września 1946 r. otrzymała natchnienie założenia nowego zgromadzenia – zaczęła słyszeć głos Jezusa: „Moja maleńka – przyjdź, przyjdź – zanieś Mnie do nor tych biedaków. – Pójdź, bądź moim światłem”. „Będziesz cierpiała – bardzo cierpiała – ale pamiętaj, że Ja jestem z tobą”. „Czy odmówisz Mi?” (s. 140). Przez kilka lat pracy z najuboższymi była bardzo szczęśliwa, aż przyszła ciemność: „Czuję w duszy po prostu ten straszliwy ból z powodu utraty Boga, który mnie nie chce [Boga, który nie jest Bogiem – Boga, który naprawdę nie istnieje (proszę, Jezuu, wybacz moje bluźnierstwa)]. Ta ciemność, która otacza mnie z każdej strony – nie potrafię wznieść swojej duszy do Boga – nie dociera do niej żadne światło ani natchnienie” (s. 263).

Pewna ulga przyszła dopiero po latach, gdy nowy spowiednik potrafił naświetlić sens tych cierpień. Pisała wtedy z wdzięcznością: „Zaczęłam kochać tę ciemność – bo teraz wierzę, że jest ona częścią, bardzo, bardzo małą cząstką ciemności i bólu Jezusa na ziemi. (...) Dzisiaj naprawdę poczułam głęboką radość, że Jezus nie może już przeżywać agonii – ale chce przeżywać ją we mnie” (s. 292) (Artur Sporniak, „Tygodnik Powszechny”).

Widzimy więc, że potrzeba było czasu, zanim Matka Teresa zaczęła rozumieć, że doświadczenie ciemności jest istotnym elementem wcielania w życie jej misji: był to udział w męce Chrystusa na krzyżu ze szczególnym akcentem na pragnienie Jezusa, by wszystkich ludzi przyciągnąć do siebie. Uznała, że jej wewnętrzna agonia jest odciskiem, jaki w jej duszy zostawiła męka Chrystusa.

Dlatego tak bardzo chciała wejść w fizyczne i duchowe cierpienie najuboższych z ubogich, niechcianych, niekochanych, odrzuconych – w ich umieraniu przeżywała Kalwarię Jezusa (por. o. Józef Augustyn, *Życie Duchowe*). Warto podkreślić, że mimo takich wielkich doświadczeń Święta z Kalkuty nie utraciła jednak pogody ducha. „Jeśli kiedykolwiek będę Świętą, na pewno będę Świętą od «ciemności». Będę ciągle nieobecna w Niebie – aby zapalać światło tym, którzy są w ciemności na ziemi” (Artur Sporniak, „Tygodnik Powszechny”).

Stajemy dzisiaj razem z nią pod krzyżem naszego Zbawiciela i wsłuchujemy się w Jego pragnienia. A Jezus, tak jak w 1947 roku do Matki Teresy, mówi dzisiaj do każdego z nas: „Potrzebuję Ciebie, abys był/abyś była moim ogniem miłości wśród biednych, chorych, umierających. Przyprowadź te dusze do mnie (...) teraz chcę działać. Nie bój się – będę zawsze z tobą. Będziesz cierpieć i cierpisz teraz, ale (...) pozwól Mi działać. Nie odmawiaj mi. Zaufaj mi z miłością – zaufaj Mi z miłością”. Zaufajmy Jezusowi i bądźmy świadkami Jego Miłości.

CHIARA LUBICH – ZAŁOŻYCIELKA RUCHU FOCOLARI (4 niedziela Wielkiego Postu)

14 marca 2008 r. zmarła we Włoszech założycielka Ruchu Focolari – Chiara Lubich – jedna z czołowych postaci życia społecznego i religijnego na świecie, która staje dzisiaj przed nami jako kolejny świadek Miłości. Celem założonego przez Chiarę Lubich ruchu jest realizacja Chrystusowego *ut unum sint* – „aby byli jedno” poprzez dialog wewnątrzkościelny i ekumeniczny wśród chrześcijan oraz z wyznawcami innych religii, a także z ludźmi dobrej woli. Fundamentem życia duchowego Chiary Lubich była prawda, że Bóg jest miłością i kocha każdego człowieka nieskończenie. Odpowiedzią na tę miłość powinno być wypełnianie nowego przykazania: miłujcie się nawzajem, jak Ja was umiłowałem (por. ks. Tadeusz Reroń).

Nie wszyscy wiedzą, że u początków swojej drogi Chiara Lubich odkryła klucz do budowania jedności

z Bogiem i bliźnimi – zrozumiała, co najbardziej może pomóc w urzeczywistnianiu przykazania wzajemnej miłości. Tym kluczem stał się dla niej Jezus Ukrzyżowany i Opuszczony. To On stanowi centralny rys duchowości całego Ruchu Focolari i jego zmarłej założycielki. Podkreślił to papież Benedykt XVI w telegramie napisanym zaraz po jej śmierci: „Przyjąłem z głębokim wzruszeniem wiadomość o śmierci pani Chiary Lubich, która nadeszła u kresu długiego i owocnego życia, niestrudzenie naznaczonego miłością do Jezusa Opuszczonego”.

Jezus Ukrzyżowany, Jezus Opuszczony – co kryje się za tym stwierdzeniem? O jakie opuszczenie tutaj chodzi? I dlaczego jest ono takie ważne dla każdego, kto chce kochać swoich bliźnich i budować jedność z innymi ludźmi? Dlaczego życie Chiary Lubich było naznaczone niestrudzoną miłością do Jezusa Opuszczonego?

Odpowiedź kryje się w ewangelicznej scenie ukrzyżowania, opisanej przez św. Mateusza i św. Marka: „Od godziny szóstej aż do godziny dziewiątej ciemność ogarnęła całą ziemię. Około godziny dziewiątej Jezus zawołał donośnym głosem: «Eli, Eli, lema sabachthani? To znaczy: Boże mój, Boże mój, dlaczego Mnie opuściłeś?»” (Mt 27, 45-46). Te właśnie słowa stały się bardzo bliskie Chiarze, to w nich zobaczyła światło – światło, które wskazywało drogę, które pokazywało jak żyć, jak kochać. Od pierwszych kroków swej nadzwyczajnej przygody duchowej Chiara Lubich, wolna od jakichkolwiek ludzkich oczekiwań wobec objawiającego się światła Bożego, odkrywa i wybiera te najbardziej ukryte i wewnętrzne spośród cierpień Chrystusa, najgłębsze i najtragiczniejsze: krańcową i absurdalną samotność krzyża, opuszczenie ze strony Boga Ojca, którego znał przecież niewątpliwie jako Miłość. Wołanie: „Boże mój, Boże mój, dlaczego Mnie opuściłeś?” świadczy, do jak wielkiego poświęcenia był zdolny Chrystus z miłości do nas. Chiara nie ma wątpliwości ani się nie waha: skoro Jezus tak bardzo nas umiłował – wystawił się na cierpienie, spowodowane poczuciem opuszczenia przez Ojca, aby stać się naszym bliźnim i zjednoczyć nas z Ojcem oraz między nami jako braci – Jego wołanie i Jego oblicze Opuszczonego czyni ona ideałem swego życia, jedynym ideałem.

7 czerwca 1944 r. w jednym z listów pisze: „Tak, to prawda, uczęszczam na uniwersytet, ale żadna książka, choćby nie wiem jak piękna i głęboka, nie daje mojej duszy tyle siły, a zwłaszcza tyle miłości, co Jezus Ukrzyżowany”. Rok później w innym liście radzi: „Zapomnij o wszystkim (...), także o rzeczach najbardziej wzniosłych; daj się opanować tylko jednej Idee, tylko jednemu Bogu, który ma przeniknąć każde włókno twojego istnienia: Jezusowi Ukrzyżowanemu” (21 VII 1945).

Kilka lat później w innym liście stwierdza, pokazując swój cel: „Zapomnieć w życiu o wszystkim: o biurze, pracy, osobach, odpowiedzialności, głodzie, pragnieniu, wypoczynku, nawet o własnej duszy (...), aby posiadać tylko Jego! Kochać tak, jak On nas umiłował: dla nas zagnał nawet opuszczenia przez samego Ojca (14 VIII 1948). A rok później dodaje: „Mam tylko jednego Oblubieńca tu na ziemi: Jezusa Opuszczonego. Nie mam innego Boga poza Nim”.

Chiara Lubich często opowiada o swoim doświadczeniu tajemnicy miłości wzajemnej: „Gdy zastanawiamy się nad tajemnicą miłości wzajemnej, gdy myślimy o tym, jak ją utrzymywać, jak żyć stwierdzeniem [Jezusa] «jak Ja was umiłowałem», [żyć nim] na miarę Jezusa, w pewnych okolicznościach dowiadujemy się, że Jezus cierpiał najbardziej, kiedy na krzyżu doświadczył, że został opuszczony przez swojego Ojca. Krzyżał: «Boże mój, Boże mój, dlaczego Mnie opuściłeś?». W przypiływie hojności, w którym oczywiście nie brakowało interwencji Boga, decydujemy się naśladować takiego Jezusa; takiego Go kochać. I to właśnie w Jego obliczu, szczycimy się cierpieniem, znajdujemy klucz, aby zawsze utrzymywać pełną komunie pomiędzy nami i ze wszystkimi. Jezus doświadczył najstraszniejszego podziału, najgorszej separacji; ale nie zawahał się i oddał się w pełni Ojcu: «W Twoje ręce powierzam ducha mego». Za Jego przykładem i z Jego pomocą podziały mogłyby już na świecie nie istnieć, a nasza miłość wzajemna stałaby się wspaniałą rzeczywistością”. Po śmierci Chiary, ktoś zafascynowany jej ideałem napisał: „Podobno kontemplowanie Jezusa Opuszczonego jest drogą do jedności chrześcijan”.

„Kochając Jezusa ukrzyżowanego i opuszczonego – mówi Chiara Lubich – chrześcijanin znajduje motywację i siłę, by nie uciekać od cierpień i podziałów, lecz aby je przyjąć ze względu na Niego, przemienić je w miłość i w ten sposób wnieść własny, osobisty wkład w ich przewyciężenie. Jezus Opuszczony to klucz do jedności, tajemnica wszelkiej odnowy”. Tłumaczy w jednej ze swoich wypowiedzi: „Trzeba stać się niczym, aby umieć przyjąć bliźniego. Wzorem jest dla nas Jezus Opuszczony. Kiedy spotykam cierpienie, spotykam Jego! On przyjął ludzkie ciało, stał się takim, jak my. I dlatego gdy spotykamy trudności, możemy widzieć w nich Jego oblicze, gdy napotykamy jakieś podziały – podziały Kościołów, czy rodzin – wtedy też spotykamy Jego, bo on jest tam obecny w tych podziałach – On, Jezus opuszczony! Spotykając cierpienie, spotykamy Jezusa Opuszczonego! I jeśli potrafimy Go tam spotkać, wtedy pozostaje już tylko On, a cierpienie znika!”.

Myślę, że Chiarę Lubich – tak jak Matkę Urszulę Ledóchowską, św. Brata Alberta i Matkę Teresę z Kalkuty – można też nazwać świadkiem Miłości? Jej świadectwo znalazło pełne potwierdzenie w trosce o jedność, w trosce o wzajemną miłość – bo nie ma życia bez miłości. Życie jest owocem wzajemnej miłości, miłość podtrzymuje przy życiu. Co więcej, miłość jest silniejsza niż śmierć! Bo miłość nigdy nie ustaje – ona wciąż żyje. Takiej miłości uczyła zmarła dwa lata temu Chiara Lubich, a źródło tej miłości odkryła w Jezusie Opuszczonym! Ona uczyła miłości opartej na miłości do Jezusa opuszczonego: „Widzieliśmy Go także w każdym cierpiącym bracie. Gdy więc spotykaliśmy się z tymi, którzy byli do Niego podobni, mówiliśmy im o Jezusie opuszczonym. Dla tych, którzy czuli się

podobni do Niego i zgadzali się, by dzielić z Nim Jego los, On stawał się dla niemego – światłem, dla zmęczonego – wypoczynkiem, dla zrozpaczonego – nadzieją, dla głodnego – nasyceniem, dla utopisty – rzeczywistością, dla zdradzonego – wiernością, dla przegranego – zwycięstwem, dla zastraszonego – odwagą, dla smutnego – radością, dla wahającego się – pewnością, dla nienormalnego – normalnością, dla samotnego – spotkaniem, dla odłączonego – jednością, dla niepotrzebnego – tym co jedynie jest potrzebne. Odrzucony czuł się wybrany. Jezus Opuszczony był dla niespokojnego – pokojem, dla wysiedlonego – domem, dla wyrzuconego – odnalezieniem się. W ten sposób, dzięki Niemu ludzie zmieniali się, a bezsens cierpienia nabierał sensu”.

Pozwólmy, aby sama Chiara wskazała nam, jak na Niego patrzeć: „Ogarnia nas lęk? Czy Jezus na krzyżu w swoim opuszczeniu nie wygląda na ogarniętego przez lęk, że Ojciec o Nim zapomniał? Kiedy ogrania nas przygnębienie, albo zniechęcenie – możemy wciąż patrzeć na Jezusa, który w tym momencie sprawia wrażenie, że w jego męce brak mu pociechy ze strony Ojca i jakby tracił odwagę, żeby zakończyć tę najboleśniejszą próbę (...). Czy okoliczności nie prowadzą nas do dezorientacji? Jezus w tym straszliwym bólu wydaje się niczego nie rozumieć z tego, co się dzieje, do tego stopnia, że woła «Dlaczego?» (...). Kiedy nas ogarnia rozczarowanie albo jesteśmy zranieni przez jakiś koszmar albo przez nieprzewidziane nieszczęście, albo przez chorobę, albo absurdalną sytuację – możemy zawsze przypominać sobie ból Jezusa, który uosabia te wszystkie próby i jeszcze tysiące innych”. W każdej naszej trudności On jest obok nas, by dzielić z nami każdy nasz ból.

„Stał się dla nas niczym, abyśmy mieli uczestnictwo we Wszystkim”. Stajemy dzisiaj pod krzyżem i wsłuchując się w słowa Chrystusa, który woła: „Boże mój, Boże mój, dlaczego mnie opuściłeś?”, modlimy się do Niego wraz z Chiarą Lubich:

Jesteśmy zmęczeni, Panie/ Jesteśmy zmęczeni pod krzyżem/ I przy każdym małym krzyżu/ Zdaje nam się niemożliwe dźwiganie większego. Jesteśmy zmęczeni, Panie,/ Jesteśmy zmęczeni pod krzyżem/ I płacz ściska nam gardło/ I polykamy gorzkie ły. Jesteśmy zmęczeni, Panie,/ Jesteśmy zmęczeni pod krzyżem/ Przyspiesz godzinę przyjścia,/ Bo tutaj dla nas nie ma już oazy radości/ Jest tylko smutek./ Bo dobro, które kochamy/ Jest całe tam,/ Podczas gdy tutaj/ Jesteśmy zmęczeni, bardzo/ zmęczeni/ Pod krzyżem./ Maryja Panna jest obok,/ Piękna, a przecież bolesna/ Niech wesprze w swojej/ Samotności naszą, w tej chwili./

Zamyśleni nad samotnością Jezusa opuszczonego bądźmy świadkami Jego Miłości!

JAN PAWEŁ II (5 niedziela Wielkiego Postu)

„W Wielki Piątek (...) nie zszedł do Bazyliki, do konfesjonatu. Po raz pierwszy nie spowiadał. To musiało go boleć. Tak jak to, że po raz pierwszy nie wziął udziału w drodze krzyżowej w Koloseum. Ale był tam duchem (...). Nie chciał leżeć w łóżku, chciał mimo wszystko w tej drodze krzyżowej uczestniczyć. I wtedy wymyśliliśmy transmisję z prywatnej kaplicy. Mógł się modlić razem z tymi, którzy byli w Koloseum. Mógł ich obserwować, a oni jego (...). Patrzyłem, jak przytulał twarz do krzyża. To był niezwykle obraz, niezwykle świadectwo. My, stojąc obok, widzieliśmy tę rurkę w tchawicy. Widzieliśmy, jak ciężko oddycha i jak walczy. To była jego droga krzyżowa. To był jego krzyż. I (...) słowa (...), które (...) odczytał kardynał Ruini, za świętym Pawłem: «W moim ciele dopełniam braki udreń Chrystusa dla dobra Jego ciała, którym jest Kościół». I na koniec: «Witaj Krzyżu, jedyna nadziejo». Ojciec Święty tłumaczył nam, tłumaczył światu, co się dzieje. I jak wielki sens ma jego cierpienie, jaką misję” – tak wspomina tamten pamiętny dzień w wydanej niedawno książce ksiądz – dzisiaj już arcybiskup – Mieczysław Mokrzycki.

Za kilka dni minie 5 lata od śmierci Jana Pawła II. Trudno nie pójść dzisiaj wraz z nim po śladach męki naszego Zbawiciela. Trudno nie dostrzec w nim wielkiego świadka Bożej Miłości, tak mocno zjednoczonego z męką swojego Mistrza. Niech więc stanie w szeregu bliskich mu osób, obok Urszuli Ledóchowskiej i św. Brata Alberta, których beatyfikował i kanonizował, Chiary Lubich i Matki Teresy z Kalkuty, z którymi się wielokrotnie spotykał i dla których miał ogromny szacunek. Niech stanie obok nich i niech nas poprowadzi drogą miłości pod krzyż Zbawiciela, i niech nam pomoże przybliżyć się do tajemnicy cierpienia.

W biografii Jana Pawła II nie brakuje wątków, które wyraźnie pokazują, że już od najmłodszych lat krzyż Chrystusa był mu bardzo bliski. Wystarczy wspomnieć śmierć matki, gdy miał 9 lat, czy brata i ojca w młodości, by nie mówić o doświadczeniach czasu okupacji, czy tych związanych z zamachem i chorobą w ostatnich latach życia. Chciałbym jednak zatrzymać się przy wydarzeniu z pierwszych lat pontyfikatu, może mniej znanym, nie dotyczącym bezpośrednio Jana Pawła II, a jednak pokazującym jego stosunek do cierpienia, do ludzkiego krzyża.

25 maja 1985 r. papież Jan Paweł II nałożył biret kardynalski na głowę ks. abpa Andrzeja Marii Deskura. Niektórzy zadawali sobie wtedy pytanie, dlaczego papież mianuje kardynałem człowieka chorego, sparaliżowanego? Dlaczego człowiek, który na skutek cierpienia nie jest w pełni zdolny do normalnej pracy, został mianowany kardynałem. Papież wyjaśnił to sam w dniu konsystorza wieczorem. Powiedział wtedy: „Jestem z nim szczególnie związany jeszcze od czasów studenckich (...), a w szczególności przez to ostatnie spotkanie, które nastąpiło przed konklawe. Wtedy to Opatrzność Boża dotknęła ks. biskupa Deskura tym ciężkim kalectwem, które nosi w sobie do dzisiaj. Wśród wszystkich kardynałów dzisiaj kreowanych on jeden był inwalidą na wózku i wnosi do tego kolegium szczególne znamię, znamię cierpienia – znamię cierpienia, które jest ofiarą. Nie znamy dróg Bożych, nie znamy tajemnic Bożych, ale trudno mnie osobiście oprzeć się

przeświadczeniu, że ta ofiara ks. arcybiskupa, dzisiaj kardynała Andrzeja, pozostała w związku z konklawe, które odbyło się w połowie października 1978 roku". Ojciec Święty dostrzega w cierpieniu abpa Andrzeja Deskura jakby cenę za to, że on, kardynał Wojtyła mógł zostać zastępcą Chrystusa. I może dlatego, tuż po wyborze na Stolicę Piotrową, pierwsze kroki skierował do rzymskiej kliniki Gemelli, gdzie leżał sparaliżowany abp Andrzej Maria Deskur, jakby chciał pokazać, że możliwość wspomagania dopiero wybranego papieża cierpieniem jest tą najlepszą, najskuteczniejszą, choć zarazem najtrudniejszą częścią. To, że chory arcybiskup zostaje kardynałem było dla całego świata czytelnym znakiem tego, jak wielką wartość Jan Paweł II widzi w cierpieniu. W podobnej optyce widział też papież zamach na swoje życie i związane z nim cierpienie.

Do takiego rozumienia sensu cierpienia Jan Paweł II dochodził przez lata modlitwy, medytacji, otwierania się na Boże słowo. W rozmowie z Andre Frossardem wyznał, że w młodości cierpienie ludzkie go onieśmielało, że trudno mu było przez pewien okres życia zbliżyć się do cierpiących, gdyż, jak sam mówił, odczuwał wyrzut, że oni cierpią, podczas gdy on jest od tego cierpienia wolny. Skrępowanie w obecności chorego wywoływało też przekonanie, że wszystko co można powiedzieć ludziom chorym, nie ma po prostu pokrycia, bo to oni cierpią, a nie ja – tak mówił Jan Paweł II o sobie. Ale zaraz dodał, że w zrozumieniu cierpienia pomogli mu sami chorzy, sami cierpiący. Szczytem doświadczeń było wyznanie z ust człowieka, którego stan był bardzo ciężki: „Ksiądz nie wie, jak bardzo jestem szczęśliwy. „Miałem przed sobą człowieka – mówił Jan Paweł II – który stracił wszystko w postaniu warszawskim, sam zaś pozostawał przykuty do łóżka (...). I ten człowiek, zamiast skarżyć się na swój los, mówi mi «jestem szczęśliwy»”.

Jan Paweł II oprócz tego, że sam cierpiał, wielokrotnie podejmował temat cierpienia człowieka, ukazując je zawsze w świetle cierpienia samego Jezusa Chrystusa. Podczas audiencji generalnej w listopadzie 1988 roku, w cyklu poświęconym osobie Syna Bożego mówił: „ Chrystus, czyli Mesjasz, Jezus z Nazaretu dokonał odkupienia świata przez krzyż. W ten sposób odsłonił najgłębszą prawdę o Bogu, który jest Miłością. A zarazem dotknął najgłębszej trudności, najgłębszego problemu człowieka i życia ludzkiego. Tym problemem jest cierpienie, które dla wielu stanowi największą trudność w drodze do Boga. W szczególności cierpienie człowieka niewinnego (...). Chrystus to wszystko ogarnął swoim krzyżem. Ogarnął całą tę tajemnicę cierpienia człowieka niewinnego, owszem absolutnie świętego i niewinnego. Powstaje więc pytanie, dlaczego cierpiał? I odpowiedź, którą na to pytanie znajdujemy, jest zarazem odpowiedzią na cały problem cierpienia człowieka wszędzie i zawsze (...). Cierpiał z miłości. W swoim cierpieniu okazywał, że miłość zdolna jest przemienić zło cierpienia w dobro Odkupienia. To jest najgłębszy wątek tajemnicy krzyża (...). Do każdego mówi krzyż: zło cierpienia może być przemienione, przeobrażone w dobro Odkupienia, jeżeli stanie się uczestnictwem cierpienia Chrystusowego. Dlatego krzyż jest takim wezwaniem dla wszystkich, którzy cierpią. Pomocą i wezwaniem; wezwaniem, żeby spojrzeli na krzyż i odczytali tajemnicę Bożą, ale także i ludzką, która w tym krzyżu jest wypisana (...). Taka jest ta wielka ewangelizacja Chrystusa ukrzyżowanego. Spełnił w krzyżu posłannictwo największe – odkupienie świata. I spełnia stale w swoim krzyżu posłannictwo najbardziej nieodzowne dla człowieka i ludzkości. Bo cierpienie wciąż towarzyszy dziejom człowieka i narodów na tej ziemi” – tak mówił w 1988 r. Jan Paweł II, tłumacząc krzyż, tłumacząc cierpienie Chrystusa – w którym zawarte są cierpienia wszystkich ludzi – a także to osobiste, jak przejmujące cierpienie, które dotykało bezpośrednio osobę Jana Pawła II.

Pięknym uzupełnieniem tego papieskiego nauczania są słowa wypowiedziane podczas jednej ze wspomnianych już rozmów z Andre Frossardem: „Na podstawie Ogrójca i Kalwarii wiemy, że Syn Boży znalazł się w tym samym punkcie, w którym znajduje się każdy człowiek na tej ziemi, zmagający się z brzemieniem zła. Znalazł się po stronie cierpiącego człowieka. Krzyż pokazuje wyraźnie, że Bóg jest po stronie cierpiącego człowieka. I z tego miejsca Chrystus wypowiedział do końca (...) prawdę o miłości, która jest potężniejsza niż męka i śmierć (...). W cierpieniu Chrystus zaszczerpił moc odkupienia i światło nadziei. I tym dzieli się z każdym człowiekiem. Chrystus niektórym chorym przywrócił zdrowie, ślepych wzrok, głuchym słuch, kilku zmarłych powołał z powrotem do życia. Natomiast wszystkim, którzy cierpią, wszystkim, którzy dotknięci są złem – naprzód «moralnym», potem fizycznym – ofiarował i ofiaruje stale ów szczerp odkupienia, który objawił się w Jego krzyżu i zmartwychwstaniu”.

Jan Paweł II zaprasza nas dzisiaj do pójścia za Chrystusem cierpiącym, bo tylko idąc za Nim, tylko będąc wciąż przy nim, zrozumiemy znaczenie i Jego krzyżowej ofiary – ofiary miłości.

„Kiedy przyszli do ogrodu zwanego Getsemani, rzekł Jezus do swoich uczniów: Usiądźcie tutaj, Ja tymczasem będę się modlił. Wziął z sobą Piotra, Jakuba i Jana i począł drzeć, i odczuwać trwogę. I rzekł do nich: Smutna jest moja dusza aż do śmierci; zostańcie tu i czuwajcie! I odszedłszy nieco dalej, upadł na ziemię i modlił się, żeby – jeśli to możliwe – ominęła Go ta godzina. I mówił: Abba, Ojczy, dla Ciebie wszystko jest możliwe, zabierz ten kielich ode Mnie! Lecz nie to, co Ja chcę, ale to, co Ty niech się stanie! Potem wrócił i zastał ich śpiących. Rzekł do Piotra: «Szymonie, śpisz? Jednej godziny nie mogłeś czuwać? Czuwajcie i módlcie się, abyście nie ulegli pokusie; duch wprawdzie ochoczy, ale ciało słabe». Odszedł znowu i modlił się, powtarzając te same słowa. Gdy wrócił, zastał ich śpiących, gdyż oczy ich były snem zmorzone, i nie wiedzieli, co Mu odpowiedzieć. Gdy przyszedł po raz trzeci, rzekł do nich: «Śpicie dalej i odpoczywacie? Dosyć! Przyszła godzina, oto Syn Człowieczy będzie wydany w ręce grzeszników. Wstańcie, chodźmy, oto zbliża się mój zdrójca»” (Mk

14, 32-42).

W piątą niedzielę Wielkiego Postu, rozpoczynającą okres męki Pańskiej, Jan Paweł II zaprasza nas do pójścia za Chrystusem cierpiącym najpierw do ogrodu Getsemani, potem na Drogę Krzyżową i na Kalwarię – bo tylko idąc za Nim, tylko będąc wciąż przy Nim zrozumiemy sens cierpienia z miłości, sens Jego krzyżowej ofiary. „Gdy nadeszła «Jego godzina», Jezus mówi do tych, którzy z Nim byli w ogrodzie Getsemani – do Piotra, Jakuba i Jana, najbliższych, szczególnie wybranych i umiłowanych uczniów: «Wstańcie, chodźmy!». Nie tylko On sam ma «pójść» ku wypełnieniu tego, co zamierzył Ojciec, ale również oni z Nim (...). Nawet jeśli słowa te oznaczają czas próby, wielki wysiłek i bolesny krzyż, nie musimy się niczego objawiać. W innych okolicznościach, do tych samych trzech uczniów Jezus tak ujął zaproszenie: «Wstańcie, nie lękajcie się». Boża miłość nie nakłada na nas ciężarów, których nie moglibyśmy unieść ani nie stawia nam wymagań, którym nie moglibyśmy sprostać. Jeśli wzywa, przychodzi z konieczną pomocą.

Chrystus zaprasza nas do udziału w swoje męce i śmierci nie tylko poprzez udział w nabożeństwach pasyjnych i dlatego do każdego z nas kieruje dzisiaj te same słowa wypowiedziane wtedy w ogrodzie Getsemani: «Wstańcie, chodźmy!». Chodźmy ufni w Chrystusie. I bądźmy świadkami Jego miłości. On będzie towarzyszył nam w drodze, aż do celu, który zna tylko On”.

KS. ALEKSANDER WOŹNY (6 niedziela Wielkiego Postu)

Od pierwszej niedzieli Wielkiego Postu próbujemy towarzyszyć Chrystusowi w jego bolesnej męce. Świadomi własnych braków i słabości poprosiliśmy o pomoc świadków Miłości – zatroskanych o by, kochać, zwłaszcza tych najbiedniejszych – aby szli razem z nami drogą krzyżową naszego Zbawiciela, aby było nam łatwiej zrozumieć sens Jego męki i Jego cierpienia. Święta Matka Urszula Ledóchowska, św. Brat Albert Adam Chmielowski, Chiara Lubich, bł. Matka Teresa z Kalkuty i sługa Boży Jan Paweł II. Nasza droga krzyżowa prowadziła ulicami wielu miast całego świata – szliśmy za Chrystusem, który dźwigał krzyż umierających na ulicach Kalkuty i bezdomnych w przytuliskach Krakowa; byliśmy w domach dziecka i przedszkolach w Pniewach u siostr urszulanek wraz z cierpiącymi dziećmi; byliśmy w rzymskim Koloseum z umierającym papieżem i na ulicach Trydentu, szukając Jezusa Opuszczonego. Dzisiaj udajmy się do Poznania, do nieistniejącego już drewnianego kościoła przy ul. Grunwaldzkiej. Jest środek nocy, a w jego wnętrzu nadal pali się światło...

Długo zastanawiałem się nad tym, kogo zaprosić do pomocy w naszym rozważaniu męki Pańskiej dzisiaj, w szóstą, ostatnią już niedzielę Wielkiego Postu. Wybrałem kapłana, człowieka bardzo mi bliskiego, może nawet najbliższego ze wszystkich sześciu postaci, a przy tym związanego z Poznaniem i archidiecezją poznańską. Mam na myśli ks. Aleksandra Woźnego, który przez 38 lat był proboszczem mojej rodzinnej parafii pw. św. Jana Kantego w Poznaniu – gorliwego spowiednika, oddanego duszpasterza, a dzisiaj też kandydata do wyniesienia na ołtarze. Bardzo bym pragnął doczekać dnia, w którym można by powiedzieć o nim „błogosławiony”, „święty”, czy choćby „Sługa Boży”...

Był człowiekiem autentycznej, żywej wiary. Swą duchowość opierał na gorliwym naśladowaniu Chrystusa miłosiernego, pokornego i cichego. Doświadczał cierpienia od najmłodszych lat. Bardzo wcześniej stracił oboje rodziców. W okresie II wojny światowej był uwięziony w obozach koncentracyjnych w Buchenwaldzie i w Dachau. Również rzeczywistość powojenna nie szczędziła mu cierpień. W latach 50-tych prawie rok spędził w więzieniu stalinowskim, więziony za sprawę, za duszpasterską gorliwość... Gorliwy sługa Boga najwyższego: „Pan Bóg mnie obdarzył językiem wymownym, bym umiał przysiąc z pomocą strudzonemu przez słowo krzepiące. Każdego rana pobudza me ucho, bym słuchał jak uczniowie. Pan Bóg otworzył mi ucho, a ja się nie oparłem ani się nie cofnąłem. Podałem grzbiet mój bijącym i policzki moje rwącym mi brodę. Nie zasłoniłem mej twarzy przed zniewagami i opluciem. Pan Bóg mnie wspomaga, dlatego jestem nieczuły na obelgi, dlatego uczyniłem twarz moją jak głąz i wiem, że wstydu nie doznam”.

Życiowe próby i cierpienia stały się dla ks. Woźnego źródłem wewnętrznej siły i służyły udoskonaleniu jego miłości do Boga i ludzi. Zjednoczony z cierpiącym Chrystusem w Jego męce pokornie przyjmował i znosił wszelkie przeciwności.

W ciągu blisko czterdziestu lat pracy duszpasterskiej w Poznaniu parafianie dostrzegli w jego życiu i działaniu „coraz bardziej zarysowujący się motyw ofiary. Przez dziesiątki lat posługi w konfesjonale, w ciągłej konfrontacji z panoszącym się złem musiał coraz dogłębniej przeżywać to, że «Miłość nie jest kochana». Czuł się za to odpowiedzialny. Wstrząsające było jedno z jego kazań (...) z wyraźnie sformułowanym tytułem «Sąd Boży nad proboszczem parafii św. Jana Kantego w Poznaniu». On pragnął być osądzony za ziemskiego życia, aby uniknąć surowego sądu w wieczności. Stąd brało się jego pragnienie zadośćuczynienia, posunięte aż do wyniszczenia samego siebie. Jego duszpasterska gorliwość była znana powszechnie. Jednak tylko niewielu parafian wiedziało, że na przykład w pierwsze święto Bożego Narodzenia, po wyczerpanej pracy adwentowej, po trwaniu godzinami na niewygodnym stołku, z którego sprawował Sakrament Pojednania (...), po nocnej Pasterce, po wielu świątecznych mszach i wygłoszonych kazaniach, kiedy kościół opustoszał po ostatniej wieczornej mszy świętej, Ksiądz Proboszcz, słaniając się ze zmęczenia, odprawiał jeszcze – jak co dzień – swą osobistą Drogę Krzyżową, idąc od stacji do stacji” (Marek Węclawski, „W drodze”, rok 1990). Odprawiał to nabożeństwo codziennie, jednocząc się z Chrystusem cierpiącym. To On dawał mu siłę do codziennej posługi duszpasterskiej – nie tylko w konfesjonale! Codzienne rozważanie męki

Pańskiej było źródłem przemyśleń, które wykorzystywał prowadząc nabożeństwa drogi krzyżowej w Wielkim Poście dla swoich parafian. Nie korzystał z przygotowanych tekstów. Sam prowadził rozważania. 27 takich rozważań Drogi Krzyżowej z różnych lat wydało jedno z poznańskich wydawnictw. Widać w tekstach autorstwa ks. Woźnego ogromną miłość do Chrystusa, dźwigającego krzyż. Wyrazem tego było często używanie w tych rozważaniach pierwszej osoby liczby pojedynczej – tak jakby sam Chrystus ustami księdza Woźnego opowiadał o swojej męce: „Na moje ramiona nałożono krzyż. Bardziej jednak niż drzewo zaciążyła Mi świadomość, że szczytu mej miłości do człowieka – Eucharystii – wielu nie rozumie, nie doceni, wzgardzi nią. Jeżeli nie chcesz, abym sam dźwigał krzyż, pomóż Mi, ofiarując swój trud podczas Mszy Świętej. Jeżeli chcesz, abym pomógł ci dźwigać twój krzyż – zjednocz się ze Mną przez komunie świętą. Nie będziesz wtedy sam”. Innym razem w rozważaniach podejmuje temat cierpienia Chrystusa: „Czy moje życie nie jest ciągłym pragnieniem przyjemności? A Pan Jezus nie unika cierpienia (...). Największą siłę do znoszenia cierpienia znajdę w świadomym ofiarowaniu wszystkiego Bogu. Panie Jezu, gdy będę próbował podświadomie uwolnić się od jakiegoś cierpienia, przypomnij mi, że Tobie mam to cierpienie ofiarować!”.

Temat cierpienia często podejmował podczas rekolekcji czy dni skupienia. Często mówił o wartości cierpienia. Wypowiedzi te opierał na własnym doświadczeniu: „Ludzie nieraz wiele cierpią, a niestety nie wykorzystują swego cierpienia, gdyż nie przyjmują go z miłosną zgodą na wolę Bożą. Czy ktoś jest ciężko chory tak, że bardzo cierpi i całymi latami jest zależny od innych, czy też ma małe dolegliwości fizyczne lub doznaje różnych cierpień duchowych, upokorzeń – wartość tych wszystkich cierpień zależy w gruncie rzeczy od stopnia miłości, z jaką je przyjmuje i znosi (...). Chcę koniecznie wypełnić wolę Bożą, pragnę, by spełniła się we mnie wola Boża. A nawet chcę tego cierpienia, nie dla niego samego, lecz dlatego, że Pan Bóg tego chce (...). Dopiero miłość ku Panu Bogu i pragnienie, by przez znoszenie cierpienia wypełnić wolę Bożą, nadaje wartość naszemu cierpieniu. Tak przeżywane cierpienie ma ogromną wartość – i to nie tylko dla nas samych, lecz i dla innych. Mówiąc o cierpieniu i doświadczeniu krzyża w życiu ks. Woźnego trzeba przypomnieć tekst biblijny z Listu św. Pawła do Filipian – czytany w liturgii w Niedzielę Palmową. Był to tekst tak bliski ks. Woźnemu, że zabiegał, aby po ułożeniu do niego melodii śpiewać go w parafii podczas liturgii. I tak rzeczywiście było: „[Chrystus] istniejąc w postaci Bożej, nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem, lecz ogołocił samego siebie, przyjąwszy postać sługi, stawszy się podobnym do ludzi. A w zewnętrznym przejawie, uznany za człowieka, uniżył samego siebie, stawszy się posłusznym aż do śmierci – i to śmierci krzyżowej. Dlatego też Bóg Go nad wszystko wywyższył i darował Mu imię ponad wszelkie imię, aby na imię Jezusa zgięło się każde kolano istot niebieskich i ziemskich, i podziemnych. I aby wszelki język wyznał, że Jezus Chrystus jest Panem – ku chwale Boga Ojca” (Flp 2, 6-11).

Gotowość na uniżenie z miłości do Boga doprowadziła go do całkowitego ofiarowania swojego życia Panu Bogu. Nie ukrywał, że nie było to łatwe. Wspominał kiedyś wewnętrzną walkę, którą toczył przez dwa tygodnie w obozie w Dachau: „Bardzo się z Panem Bogiem mocowałem o to, czy mam się zgodzić, że nie wrócę do kraju, czy też nie mam się zgodzić. Miałem wprawdzie dziwne przekonanie – Matka Boża mi je dała – że na pewno z obozu wrócę (...), ale przez dwa tygodnie umawiałem się z Panem Jezusem na ten temat, czy mam się na swą zgubę zgodzić czy nie. Chociaż byłem prawie pewny, że Pan Bóg tej ofiary ode mnie nie przyjmie, to jednak trudno było mi się zgodzić (...). Wiedziałem, że najszlachetniejszą rzeczą jest to, że bym pozwolił Panu Bogu wszystko ze sobą zrobić. A jednak było to dla mnie bardzo trudne i przyznam się wam, że jeszcze później, po powrocie z Dachau, na takie ostateczne oddanie się Bogu zdobyłem się dopiero po czterech latach (...). Męczyłem się w tym czasie, żeby móc Panu Jezusowi powiedzieć: zrób ze mną co chcesz. Jak tylko przychodziło mi na myśl, by tak Panu Jezusowi powiedzieć, to zaraz zdawało mi się, że za chwilę przyjdą mnie aresztować i wywozą na Syberię. Potem mi te lęki przeszły, myślałem, że może tak źle nie będzie, zgodziłem się i potem już sobie z tego nic nie robiłem. Gdyby tak miało być, niech będzie i Syberia. Ale potem zaczęło mi znowu przychodzić na myśl, że na tej Syberii może mnie spotkać specjalna śmierć, że może mnie tam rzuca żywcem na pożarcie (szczerom i zdawało mi się, że one już mnie gryzą). Jak tylko mówiłem Panu Jezusowi, że Go kocham, że tak naprawdę może ze mną zrobić co chce, to zaraz zdawało mi się, że to wszystko już się zaczyna, że jest już (...). Jednak nawet Pan Jezus, aby być dla nas wzorem i za nas cierpieć przeszedł przez to udrczenie wtedy, gdy w Ogrójcu, oddając się Ojcu Niebieskiemu na mękę, tak strasznie się lękał. Więc to nie jest dziwne, tylko jest czymś przyrodzonym, zupełnie naturalnym, że i my lękamy się tego wszystkiego, tych różnych cierpień, które Pan Bóg może na nas zesłać”. Świadek Miłości – ks. Aleksander Woźny. Dobiegają końca nasze tegoroczne rozważania pasyjne. Szliśmy z Chrystusem drogą Jego męki. Towarzyszyli nam świadkowie Miłości, zjednoczeni z Chrystusem w Jego cierpieniu i w Jego miłości. Każdy z nich rozumiał zbawczy sens ofiary Chrystusa, zbawczy sens cierpienia, podjętego z miłości do każdego z nas. Tak było również w życiu ostatniego świadka, ks. Aleksandra Woźnego. Na jego grobie obok nazwiska, lat życia i kapłańskiej posługi umieszczono bardzo prosty napis – jedno jedyne słowo, które może być najlepszym podsumowaniem jego życia i całej naszej wielkopostnej drogi. To słowo brzmi: „Zmartwychwstanie”.

autor: **ks. Maciej K. Kubiak**

